

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9 róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

GASTON LEROUX.

BALAOO

5)

— Ale, ostatecznie, panie sędzio, w jaki sposób wszedł morderca? I jak wyszedł?

— Chciałem się sam pana o to spytać — rzekł pan de Meyrentin, wstając. — Jak tylko będzie pan już mógł wstać z łóżka, a sądzę, że to nastąpi zaraz, niech się pan przejdzie do oberży i niech pan w moim imieniu, każe ojcu Tambour, który tam pilnuje wejścia, żeby pokazał panu ślady kroków, jakie po zostawił morderca.

— Ach, więc są ślady kroków! Na podłodze sali bilardowej, czy tak?

— Nie, panie, na suficie!

Powiedziawszy to, p. de Meyrentin pożegnał nieśczęśliwego Patryka, który począł płakać jak dziecko. Na szczęście nadeszli stary Coriolis i Magdalena i zdołali mu wytłumaczyć, że sędzia śledczy był ostatnim z głupców. Coriolis najbardziej był rozwścieżony na p. de Meyrentin. Nigdy żaden z rodziny Saint Aubin'ów z Clermont ani z Saint-Martin-des-Bois, nie mieszał się do polityki, której ofiarą padł napewno Blondel. Stary Saint-Aubin, z ulicy Ecu w Clermont, był uczciwym rejentem i nic więcej. Coriolis zaś od czasu swego powrotu z Batawii nie zajmował się i nie chciał zajmować się niczem, prócz hodowli rośliny chlebowej, którą przywiózł z dalekiego Wschodu i którą przez patryotyzm chciał zaaklimatyzować we Francji. Zyjąc w taki sposób, niepodobna było tworzyć sobie wrogów. Coriolis więc i jego bliscy znieśli prawie z zupełnym spokojem ów okropny okres czasu, podczas którego cała okolica żyła w ustawicznym przerażeniu. Coriolis był pewny, że nie uczynią mu nic złego.

Dla niego, jak i dla wszystkich innych, było jasne, że zbrodnie popełniali trzej bracia... mimo to nie przestawał darzyć ich swymi łaskami... nigdy nie żądał od nich opłaty czynszowej za chałupę, którą zamieszkiwali na brzegu lasu... a ponieważ dwór, w którym mieszkał z Magdalena, był dosyć odosobniony, nie wahał się używać trzech braci jako straży. To był genialny pomysł. Stary Coriolis ciągle jeszcze śmiał się z niego. Kazać się pilnować złodziejom!

— To lepsza opieka, niż żandarmi — mawiał, gdy wyrażano zdziwienie, że pozwala chodzić po swych polach braciom Vautrin ze strzelbami. Stary nie polował nigdy. Dlatego też pozwolił strzelać swe zające trzem hultajom, którzy zresztą czyniliby to i bez pozwolenia. W dodatku płacił im za zwierzę.

Ale za to wszystko miał spokój i w jego domu można było spać bez żadnej obawy.

I oto teraz ten głupiec sędzia śledczy, który nie miał pojęcia o obyczajach i stosunkach miejscowych, śmiał twierdzić, że chciano zabić Patryka!

Coriolis kazał wstać siostrzeńcowi i żeby odmienić kierunek jego myśli posłał go do ogrodu, gdzie czekała nań Magdalena. Sam zaś pospieszył do swej rośliny.

Magdalena, spotkawszy się z Patrykiem, zaraz zaczęła szeptać:

— Myślałam o tem, co ci mówił ten idyota! (Młodzi ludzie byli ze sobą „na ty“ oddawna). Jedno z dwojga, albo cię morderca poznał, albo nie. Poznał cię, gdyż wołał po imieniu, każąc ci siedzieć spokojnie w miejscu gdzie byłeś. A poznawszy cię, jakże mógł się tak grubo pomylić? Czy było światło w sali bilardowej?

— Owszem, było tam dosyć jasno, najlepszym dowodem tego było, że widziałem doskonale ciało Blondela.

— A więc i „on“ powinien był dobrze widzieć. Uspokój się, Patryku. Opowiedz mi, co słyhać u mojej ciotki. Nie myśl już więcej o tej ohydnej sprawie. Wszystko tą są zemsty polityczne, które nas nie dotyczą.

— Więc to bracia Vautrin, co?

Przechodzili właśnie niedaleko bramy, która wychodziła na pola.

— Ostrożnie! Nie mów tak głośno. Zawsze któryś z nich włóczy się w tych stronach. Co za plaga dla okolicy!

Stali przez chwilę przed bramą, wpatrując się w mały daszek, który wznosił się nad ziemią — w niewielkiej odległości — z boku od drogi. Było to mieszkanie Vautrinów.

Hubert! Szymon! Elias! trzej bliźniacy, którzy matka Vautrin obdarzyła świat, jak pomiotem wilczym. Trzej mali chłopcy niegdyś byli zabawą całej wsi — teraz byli postrachem! Każdy uważał się za ich przyjaciela, do tego stopnia bano się ich. I teraz jeszcze, przy spotkaniu witano ich uściskiem dłoni. Jedynie wieczorem wolano ich nie spotykać wcale, a zwłaszcza, wjeżdżając do Saint-Martin de Bois, starano się unikać zapadłej chatki na brzegu lasu, gdzie dogorywała sparaliżowana stara Vautrin, opowiadająca straszne historie o swym mężu, który był na galerach.

Ten ostatni szczegół nie przeszkadzał wcale braciom Vautrin grać ważnej roli w polityce departamentu. Nie było dla nikogo sekretem, że trzykrotnie podczas wyborów w okręgu Belle Etable, rozdając odezwy i prospekty, oraz wyznając wiary, we wszystkich wsiach okolicznych, wywołując awantury na zebraniach przedwyborczych, lub czyniąc pobyt w departamencie niemożliwym dla przeciwników, których uważali za groźnych — trzej bracia przy czynili się w znacznej mierze do wyboru posła, który był honorem okręgu i nadzieją Izby. Oni sami mogliby przynieść nieco zaszczytu swemu krajowi, ale nie dbali o to. Należy im jednak oddać sprawiedliwość, że robili próby. Jako wynagrodzenie za oddane przysługi — otrzymali urząd roznoszenia telegramów. Dotąd wspominało te czasy w Saint-Martin i w Cerdogne ze drżeniem. Czekali z depezą, która nadeszła wieczorem, do nocy, budzili odbiorę, kazali sobie dawać kolację i oddalali się dopiero z pięć frankówką, łatwo zdobytą na tchórzach. Na nieśczęście twarz inspektora przejmowała ich wstrętem i bracia podali się do dymisji, poczem Hubert obiecał temu wysokiemu urzędnikowi że go usunie i obietnicy dopełnił solennie.

Nie! Ci ludzie byli stworzeni jedynie do pracy na własną rękę. Najmowali się, skoro im to było dogodne, na winobranie — i zapijali się do niemożliwości. Pozatem przebywali oni ciągle w olbrzymich Czarnych lasach, złożonych z sosen, dębów i buków — i tam byli panami wszechwładnymi.

Pomimo, że mieszkanie ich na brzegu lasu było liche, uważano ich ogólnie za bogatych i składających pieniądze, a przechowujących owoce swych kradzieży w jakichś tajemniczych miejscach, co uniemożliwiało odnalezienie jakichkolwiek śladów u miejscowych przechowowaczy. Bracia pozwalali o sobie mówić. Można było pomyśleć, że bawi ich to, że są postrachem okolicy — i często w oberży sami zachęcali do plotkowania.

— No i cóż? Cóż tam o nas mówią? Urządaliśmy dziś jaki napad?

Opowiadano im krążące o nich plotki i śmiano się tchórzliwie wraz z nimi. Bracia walili swemi potężnymi pięściami w stół, oznajmiając, że „to jest znakomite“ i przysięgając, że to nie przeszkadzałoby im dać się zabić za rzeczpospolitą — następnie wychodzili na ulicę, wrzeszcząc na całe gardło. Bywali tak zabawni, że potrafiliby rozśmieszyć umarłego. Gdy jednak nagle poważnieli, strasznie było na nich patrzeć. Wszyscy trzej zdawali się mieć jednakowy chód i jednakowe przyzwyczajenia. Hubert jednak

był najsilniejszy, a Szymon i Elias mieli jaśniejsze włosy. Tych dwóch nazywano „albinosami“.

Patryk odciągnął Magdalena od tego miejsca, skąd widać było chałupę Vautrinów.

— Jak możecie tu mieszkać? Ach, moja droga Magdalena, jakbym pragnął zabrać cię stąd! Czy ojciec nie ci jeszcze o tem nie mówił? Ja nigdy nie śmiałem z nim mówić, taki jest opryskliwy!

— Powiem ci coś w sekrecie. Ojciec ma już także dosyć tych stron.

— Rozumiem to doskonale! — zgodził się Patryk.

— Wkrótce wyjedziemy stąd.

— A!

— Tak... przenosimy się na stałe do Paryża... ślub odbędzie się w Paryżu.

— Daj Boże, żeby się stało jak najprędzej... Nie wiem, co twój ojciec chce robić w Paryżu, ale wszystko jest lepsze, niż pozostawanie tutaj... I na co właściwie jeszcze czekacie?

— Ojciec musi jeszcze zrobić kilka doświadczeń ze swą rośliną chlebową. Twierdzi, że nie jest jeszcze dostatecznie przygotowana — odrzekła Magdalena, rumieniąc się zlekka i odwracając głowę.

— Co za przekłeta historia z tą rośliną! Myślę, że twój ojciec ma małego bzika, jak wszyscy maniacy. Ta roślina mogłaby mu zastąpić wszystko. Będzie miał z tem jeszcze dużo rozczarowań. A co najważniejsza, że nie jest przecież złym człowiekiem.

Szli, z lekka pochyleni ku sobie, zwierając się i czując się doskonale ze sobą w tym prawdziwym raju, w tym ogrodzie zapuszczonym, gdzie wszystko rosnęło, jak chciało. W swojej obszernej posiadłości Coriolis nie chciał mieć żadnej służby, prócz starej Gertrudy i swego służącego, wielkiego chłopca spokojnego i łagodnego jak owca, który w przeciągu dnia nie wymawiał więcej, jak dwadzieścia słów, a którego przywieziono wraz z rośliną chlebową z dalekiego Wschodu. Nazywał się on Noel. Noel nie miał czasu zajmować się ogrodem. Cały czas spędzał wraz ze swym panem w oficynie, przy której wybudowano cieplarnię; tam to właśnie hodowano ową tajemniczą roślinę, którą Patryk rzadko widywał, nie pojmując zresztą, czemu jego wuj tak usilnie się nią zajmuje.

Oficina była otoczona dzikim sadem, do którego wejście obcym było wzbronione. Cała ta część posiadłości poświęcona była na doświadczenia, które codziennie czynił Coriolis i które starannie notował wieczorem w swym gabinecie, chowając notatki w swej kasie. Gabinet Coriolisa znajdował się w górnej części domu, w baszcie. Starzec zamykał się tam w nocy, po dniu spędzonym na doświadczeniach z rośliną.

Z początku wszystko to Patrykowi wydawało się bardzo tajemniczem, zwłaszcza w okresie, gdy wuj był dlań bardzo opryskliwym i zabraniał mu stanowczo wstępu do oficyny. Od trzech lat jednak, od czasu, gdy zakaz był cofnięty i Patryk mógł chodzić wszędzie i bywał nawet wraz z Magdalena w oficynie — wyrobił sobie zdanie, które wszystko tłumaczyło jasno: „Ojciec Magdaleny jest starym waryatem“.

Młodzi ludzie nie pocałowali się jeszcze. Przyszło im to nagle do głowy, porozumieli się co do tej anomalii miłosnej i Patryk etykietałnie, jak przystało na porządnego praktykanta rejentałnego, który znał swe prawa i obowiązki narzeczeńskie, pocałował Magdalena we włosy.

W tej chwili — zagrzmiało.

Magdalena zadrżała, zbladła i spojrzała z niepokojem na swego narzeczonego. Patryk spojrzał na niebo jasne i czyste.

— Tego już za wiele — wyrzekł — już drugi raz mi się to trafia...

— Co takiego? — zapytała naiwnie Magdalena, rumieniąc się bez widocznej przyczyny.

— Po raz drugi rozlega się grzmot, gdy cię chce pocałować!...